

Netanjahu nie lubi rewolucji

26 listopada 2011

Nie należy martwić się o przyszłość Izraela, gdyż to państwo nie ma przyszłości – pisał niedawno Asad Abu Chalil. Zadbali o to przedstawiciele establishmentu izraelskiego, czego dowodem jest ich wrogi stosunek do fali rewolucyjnej w świecie arabskim i nostalgia za obalonym dyktatorem Egiptu Hosnim Mubarakiem.

Miał rację Asad Abu Chalil, autor kultowego w niektórych kręgach bloga Angry Arab (www.angryarab.blogspot.com), który stwierdził niedawno, że o przyszłość Izraela nie należy się martwić, gdyż Izrael nie ma przyszłości. O taki obrót spraw nikt zaś lepiej nie zadba, niż trzęsący tym krajem najgorsi wstecznicy, od dawna głoszący, że wśród Palestyńczyków brak jest „partnera do pokoju”. Rzecz jasna, istotnie trudno o „partnera” do pokoju policyjnego – „pokoju na naszych warunkach”, jak to się niegdyś z niezwykłą szczerością wyraziła Cipi Liwni.

Te warunki to zachowanie hegemonii Izraela w historycznej Palestynie i w całym regionie, hegemonii stanowiącej koniec końców jego *raison d'être* jako bliskowschodniego „wysuniętego przyczółka” kapitalizmu i imperializmu. Stąd też, gdy pojawiło się – będące również po części jednym z wyników Drugiej Intifady palestyńskiej [1] – historyczne wyzwanie dla całego niesprawiedliwego porządku światowego, jakim pozostaje rewolucja arabska wraz ze wszystkimi jej składowymi, państwo syjonistyczne objawia w pełni swą reakcyjną naturę.

Nieuchronna jest konfrontacja – z dużym prawdopodobieństwem konfrontacja zbrojna – między siłami uwolnionymi dzięki tej fali rewolucyjnej a kontrrewolucyjnym okiem ciemności, jakim dzień w dzień coraz bardziej staje się Izrael.

Gdy pod koniec stycznia wybuchło w Egipcie powstanie

rewolucyjne, które doprowadziło do zmięcenia długoletniego dyktatora Hosniego Mubaraka, establishment izraelski dał obrzydliwy spektakl poparcia dla tego satrapy, wzywając przywódców mocarstw zachodnich, by powstrzymali się z jego krytyką. Kilka miesięcy później, gdy obalony Mubarak zasłużenie został wystawiony na sali sądowej na pokaz w klatce w obecności kamer, obecny premier Izraela Benjamin Netanjahu mówił o nim w wywiadzie, opublikowanym na stronie internetowej saudyjskiej telewizji Al-Arabija, jako o swoim „wspaniałym przyjacielu”. (Nawiasem mówiąc, „wspaniali przyjaciele” Izraela jakoś źle w tym roku kończą – miałyby tu coś do powiedzenia Jeorios Papandreu, który pomógł Izraelowi w uniemożliwieniu dotarcia tegorocznej Flotylli Wolności do Strefy Gazy.)

Upokorzenie Mubaraka oznaczało automatycznie upokorzenie Netanjahu i jego pstrokatej rządowej świty. Oto gdy w Egipcie utrzymuje się sytuacja rewolucyjna, w wyniku czego wybuchło kolejne powstanie ludowe, tym razem wymierzone w marszałka Husajna Tantawiego i jego Najwyższą Radę Wojskową, która zawłaszczyła egipską rewolucję, izraelski premier jak ranny łoś przeprowadza werbalną kontrrewolucyjną szarżę w Knesecie [2]. „W lutym, gdy miliony Egipcjan wyległy na ulice, komentatorzy i niejeden członek opozycji izraelskiej mówili, że oto widzimy erę liberalizmu i postępu. [...] Mówili, że usiłuję straszyć opinię publiczną, znalazłem się po złej stronie historii i nie widzę, w jakim kierunku idą sprawy” – mówił 23 listopada Netanjahu. Stwierdził następnie, że sprawdziła się jego ocena tych wydarzeń i procesów jako „fali islamistycznej, antyzachodniej, antyliberalnej, antyizraelskiej i antydemokratycznej”. Zmiotła wszak takich szczerych demokratów, jak Ben Ali, Mubarak, Kaddafi czy Saleh. Nic to nawet, że Bracia Muzułmanie zdecydowali, że nie wesprą kolejnego powstania w Egipcie, które wybuchło w ostatnich dniach.

Oczywiście, mimo jej wyraźnej nierównomierności, fala

rewolucyjna w świecie arabskim istotnie idzie wektorem antyliberalnym, a nieraz wręcz antykapitalistycznym. Możliwość takiej ewolucji stała się widoczna już w czasie kilkuletniej fali strajkowej w okresie przedrewolucyjnym w Egipcie – największej fali strajków na kontynencie afrykańskim od kilkudziesięciu lat. Pojawiały się wówczas m.in. postulaty podwyżki płacy minimalnej, stałych umów o pracę dla osób zatrudnionych na umowy śmieciowe, wolności zrzeszania się w związkach zawodowych czy renacjonalizacji sprywatyzowanych przedsiębiorstw. Postulaty słyszalne w okresie przedrewolucyjnym stały się tym bardziej słyszalne w okresie bezpośrednio rewolucyjnym. Nie może to podobać się dogmatycznemu thatcheryście, z pewnością dodatkowo zatroskanemu o inwestycje, jakie wielka burżuazja izraelska poczyniła w Egipcie w czasach Mubaraka – szczególnie w tzw. Specjalnych Strefach Przemysłowych. Pochodzące z nich produkty mogą być sprzedawane na preferencyjnych warunkach do Stanów Zjednoczonych pod warunkiem udziału kapitału izraelskiego w wytwarzających je przedsiębiorstwach. Widać też wyraźny wektor antyizraelski (i szerzej, antyimperialistyczny) tej rewolucji: egipskim bohaterem narodowym został „egipski Spiderman”, 23-letni Ahmed el-Szahatt, który w sierpniu wdrapał się na 13. piętro budynku, w którym mieści się ambasada Izraela w Kairze, by zerwać izraelską flagę. Sześciokrotnie wysadzano w powietrze rurociąg, umożliwiający sprzedaż egipskiego gazu do Izraela. Kontestowany jest egipski współudział w blokadzie Strefy Gazy. Wreszcie, coraz bardziej stawiany pod znakiem zapytania jest izraelsko-egipski układ pokojowy z Camp David – choć rządzącym wojskowym zależy na zachowaniu status quo, a kierownictwo Braci Muzułmanów pozostaje zainteresowane raczej jedynie korektą traktatu. Nie może to podobać się religijnemu (a raczej: religianckiemu) syjonizmowi, wywodzącemu ze Starego Testamentu „historyczne prawo” Żydów do mandatowej Palestyny. Wolność wyznania pozwala jednak nie podzielać jego kultu Jahwe i kultu własności prywatnej.

Jak pisze na swej stronie internetowej izraelski dziennik

Haaretz – bynajmniej nie antysyjonistyczny – przemówienie Netanjahu dowiodło jego „braku wiary w zdolność narodów arabskich do utrzymania reżimu demokratycznego; pragnienia powrotu do czasów obalonego prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka; strachu przed upadkiem haszymidzkiego domu królewskiego w Jordanii; oraz skrajnego braku woli jakichkolwiek ustępstw wobec Palestyńczyków”. Świat arabski ma się „cofać, zamiast posuwać się naprzód” – w związku z czym najwyraźniej coraz mniej akceptuje hegemonię Waszyngtonu, Tel Awiwu i Rijadu [3].

Rewolucja zaostrzyła sprzeczności między tymi hegemonicznymi na Bliskim Wschodzie siłami. Stąd Netanjahu gromi samego Zeusa Gromowładnego, Baracka Obamę, który po wybuchu powstania w Egipcie wezwał Mubaraka do ustąpienia, uznając, że stary faraon zużył się jako klient Białego Domu i trzeba poszukać nowych, co wywołało panikę w Izraelu, rozleniwionym pozostającą w jego żywotnym interesie mubarakowską „stabilnością”. Dziś wiadomo już, że kapitan wielkiego naziemnego lotniskowca okazał się „naiwny”, w przeciwieństwie rzecz jasna do kapitana małego naziemnego lotniskowca.

Nikt wszak nie przeprowadza lepszych analiz rewolucji arabskiej niż niektórzy izraelscy „eksperci” – stąd jeszcze po wybuchu styczniowo-lutowego powstania w Egipcie analitycy z Mossadu utrzymywali, że reżim Mubaraka pozostaje stabilny.

„Zapytuję tu, kto tu nie zrozumiał rzeczywistości? Kto tu nie zrozumiał historii?” – hamletyzował w Knesecie Netanjahu, choć mógłby lepiej zapytać czy ktokolwiek na tej sali – włącznie z nim samym – je pojął. „Rewolucja wydaje się całkowitym szaleństwem tym, których zmiata i obala” – te słowa, które wypowiedział nie kto inny jak Lew Trocki, przypominają się z całą mocą, gdy spojrzeć, jak Netanjahu uzasadnia brak jakichkolwiek ustępstw wobec Palestyńczyków: „Izrael ma przed sobą okres niepewności i niestabilności w regionie. Z pewnością to nie jest czas, aby słuchać tych, którzy mówią, że trzeba podążyć za głosem serca”.

Siły rewolucyjne w świecie arabskim idą jednak w pewnym sensie za głosem serca: w swym realizmie żądają niemożliwego – w swym irrealizmie żądają tylko tego, co absolutnie możliwe. Czego? Na długo przed wzrostem fali rewolucyjnej w świecie arabskim te realnie nierealne i nierealnie realne żądania postawili ci, którzy w Egipcie wzniesli hasło: „Droga do Jerozolimy wiedzie przez Kair”.

„Pamiętam, jak wielu z was naciskało na mnie, bym wykorzystał szansę i poczynił pospieszne ustępstwa, pospieszył się z porozumieniem. Nie oprę jednak polityki izraelskiej o złudzenia. Tu ma miejsce potężny wstrząs... ktokolwiek tego nie widzi, chowa głowę w piasek” – stwierdził Netanjahu. – „Nie powstrzymało to ludzi, którzy przychodzą do mnie, sugerując, byśmy dokonali wszelkiego rodzaju ustępstw. Odpowiadam, że obstajemy, by ich podstawą były stabilność i bezpieczeństwo... tym bardziej teraz”.

„Stabilność i bezpieczeństwo” tych, którzy pozostają hegemonami Bliskiego Wschodu, to jednak – „tym bardziej teraz” – marzenie ściętej głowy. Bez względu na to, że ci, w których interesy obecna fala rewolucyjna uderza, będą przedstawiać dążenie do obalenia ich hegemonii jako rzekomo wrogie postępowi. Netanjahu wypowiedział swe słowa w obliczu i w kontekście kolejnego powstania w Egipcie – powstania, wobec którego kierownictwa Braci Muzułmanów i innych ugrupowań islamistycznych przyjęły postawę ledwo zakamuflowanej wrogości. Nic dziwnego, że już niedługo po wybuchu rewolucji w Egipcie jeden z ministrów w rządzie Netanjahu, Ehud Barak, roztaczał „złowrogie” wizje reżimów rewolucyjnych pod wodzą nowego Robespierre’a czy Lenina [4] – chyba z wrażenia zapominając o postraszeniu Chomeinim.

Autor: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Internacjonalista](#)

PRZYPISY

[1] W wypadku wydarzeń i procesów, które nie zdążyły jeszcze dobiec końca, częstym problemem pozostaje brak obszernego materiału faktograficzno-analitycznego, dotyczącego różnych ich aspektów. Jednakże przekonującą argumentację, przemawiającą na rzecz tezy o Drugiej Intifadzie jako praźródle obecnej fali rewolucyjnej w świecie arabskim, przedstawił znany egipski lewicowy publicysta i bloger oraz uczestnik rewolucji egipskiej Hossam el-Hamalawi. W styczniu tak mówił on w wywiadzie dla Al-Dżaziry: „Należy zrozumieć, że regionalne to tutaj lokalne. Protesty w 2000 r. nie rozpoczęły się jako protesty antyreżimowe, lecz jak protesty przeciwko Izraelowi i na rzecz Palestyńczyków. Podobnie działo się, gdy trzy lata później Stany Zjednoczone dokonały inwazji na Irak. Gdy jednak znajdziesz się na ulicy i spotkasz się z przemocą reżimu, zaczniesz pytać: Czemu Mubarak wysyła oddziały przeciwko protestującym zamiast sprzeciwić się Izraelowi? Czemu eksportuje cement, który Izrael wykorzystuje do budowy kolonii, zamiast wspomóc Palestyńczyków? Czemu policja jest wobec nas tak brutalna, choć chcemy jedynie pokojowo wyrazić naszą solidarność z Palestyńczykami? W ten sposób kwestie regionalne takie jak Izrael czy Irak stały się kwestiami lokalnymi. Potrzeba było dosłownie chwili, by uczestnicy protestów, skandujący hasła propalestyńskie, zaczęli skandować hasła wymierzone w Mubaraka. Gdy mowa o protestach, szczególnym punktem zwrotnym okazał się 2004 r., gdy bezpośrednio zbuntowano się przeciw porządkom w kraju.” („Intifada młodych” @ <http://tiny.pl/h1v6j>.) Wkrótce potem tak wyraził się na czacie z czytelnikami „Washington Post”: „Momentem upadku muru berlińskiego był wybuch palestyńskiej intifady w 2000 r., który wywołał w całym świecie arabskim reakcję łańcuchową, dając inspirację do ulicznego buntu. Rewolucja tunezyjska jest wobec tego w istocie katalizatorem procesu, który dojrzewał już od dziesięciu lat.” („Kryzys rewolucyjny w Egipcie”, <http://tiny.pl/h1v62>.)

[2] Barak Ravid, „Netanyahu: Arab Spring pushing Mideast backward, not forward”, <http://tiny.pl/h1vvr>.

[3] Arabia Saudyjska jest często postrzegana jako główny państwowy sponsor sił islamistycznych na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej, faktycznie uznawanych przez potęgi zachodnie za „mniejsze zło”. Patrz np.: Samir Amin, „2011: An Arab Springtime?”, <http://tiny.pl/h1vvj>.

[4] „Barak: Mideast unrest mustn't culminate in revolutionary regimes”, <http://tiny.pl/h1vv1>.